

# WIECZORY RODZANNE,

CHASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Stefan Szolc-Rogoziński.

## Nowa wyprawa do Afryki.

Niedawno podaliśmy czytelnikom naszym wizerunek znakomitego podróżnika francuzkiego i opis jego odkryć w Afryce środkowej. Savor-

gnan de Brazza oznaczył bieg rzeki, którą dotąd znano tylko przy ujściu, zwiedził ogromne obszary lądu, nietknięte jeszcze stopą Europejczyka. Już teraz, dzięki usiłowaniom kilku nieustraszonych podróżników, na mapie Afryki środkowej przybywa coraz więcej dokładnych szczegółów. W miej-

scach, gdzie do niedawna jeszcze był biały, czysty papier, bo nie wiadano, co na nim narysować, dziś poznaczane są ogromne jeziora, jakby morza wewnętrzne, rzeki wspaniałe, góry i nazwy różnych ludów murzyńskich.

Anglik Livingstone był pierwszym, który się puścił odważnie do wnętrza afrykańskiego lądu poniżej równika i znakomitych odkryć tam dokonał. Za jego przykładem poszli inni, a z tych najznakomitsi są: Anglik Cameron, Amerykanin Stanley, Hiszpan Serpa Pinto, Francuz Savorgnan de Brazza. Pomimo to jednak pozostały jeszcze na mapie rozległe obszary, większe daleko od całych krajów w Europie, na których niema nic, oprócz białego papieru. I tak naprzykład ponad równikiem w Afryce zachodniej jest przestrzeń zupełnie nieznaną. Podróżnicy słyszeli tylko od krajowców, że tam się znajdują bardzo duże zbiorniki wód, zwane Liba. Niedaleko morskich wybrzeży ciągną się łańcuchy gór, część tego pasma otrzymała nazwę Kameronskich, na cześć podróżnika Camerona. Co jest za temi górami, niewiadomo.

Bardzo być może jednak, że wkrótce się o tém dowiemy, gdyż właśnie w roku bieżącym wyruszył tam odważny marynarz, rodak nasz, pan Stefan Szolc Rogoziński. Już dawniej w „Listach z Warszawy” Kazio donosił czytelnikom naszego Pisma że p. Rogoziński był tu w Warszawie i miał parę odczytów publicznych, w których objaśniał swoje zamiary i nadzieje. Nie łatwe to jednak było zadanie zebrać fundusze potrzebne na taką wyprawę, poczynić wszelkie przygotowania, a nade wszystko wynaleźć towarzyszy roztropnych, wytrwałych i odważnych, którzyby chcieli podzielić trudy i niebezpieczeństwa z dzielnym swoim przywódzcą.

Długo też chwiała się losy polskiej wyprawy i byli tacy, którzy sobie z niej żartowali, aż w końcu pan Rogoziński przezwyciężył wszystkie trudności, a poświęciwszy na to cały majątek własny, jakim mógł rozporządzać, zebrawszy resztę ze składek, zakupił w Hawrze statek żaglowy zwany Łucyą Małgorzata, zaopatrzył go w żywność i różne przedmioty stosowne na podarunki dla dzikich ludzi, i d. 13 Grudnia r. 1882 wyruszył z Hawru do Afryki. Dobrał też sobie gromadkę towarzyszy, a pomiędzy nimi kilku Polaków. Są to wszystko ludzie wykształceni, którzy w tej podróży gromadzić będą wiadomości naukowe.

W początkach swęj podróży żeglarze pokilkakrotnie walczyć musieli ze straszliwemi burzami na morzu. Oto co pisał pan Rogoziński dnia 18 Stycznia z wyspy Madery do przyjaciela swego

p. Sulimierskiego w Warszawie. List ten drukowany był w Wędrawcu.

„Przed godziną spuściłem kotwicę na Maderze po trzydziestu sześciu dniach żeglugi ciężkiej i niebezpiecznej. 13 Grudnia, jak donosiłem, wypłynęliśmy z Hawru w nadziei, iż na Święta Bożego Narodzenia będziemy na Maderze. Zaledwie jednak wypłynąłem z portu, gdy wiatr się zmienił i zmusił mię do zawinięcia do Falmouth, gdzieśmy od 16 do 20 Grudnia stali na kotwicy. 20 opuściłem Falmouth, lecz na oceanie oczekiwały nas orkany, które do dzisiejszego dnia rzucały „Łucyą” po falach.

Co się działo na morzu, o tém trudno dać wam pojęcie. Dzień i noc walczyła nasza „Łucya” z rozhukanemi żywiołami. Zdawało się czasem, że przepaść musi, lecz zawsze zwinnie wyskakiwała na szczyt bałwanów i nareszcie po tygodniu nieopisanych wysiłków, stanęła dziś w porcie.

Dnia 8 Stycznia barometr opadł tak nisko, jak rzadko bywa na oceanie. Niezwłocznie orkan uderzył na nas z straszną siłą. Każdy muskuł drgał we mnie; trzeba było być przygotowanym na wszystko na tak małym okręcie; ale dzielnie wyszła Łucya z walki, choć podczas owej doby fale zalewały pokład i kajuty.

Bogu dzięki przybyliśmy szczęśliwie i jeszcze nie byliśmy na lądzie, bo stanęliśmy dopiero co na kotwicy. Siadam więc, by skreślić kilka słów do pana, pierwszego mego przyjaciela, Są to pierwsze słowa z Afryki, (choć tylko z wyspy)“.

Na Maderze podróżnicy podejmowani byli z gościnnością staropolską przez hr. Benedykta Tysskiewicza, który już przedtém znakomicie się przyłożył do powiększenia funduszy, na tę wyprawę zbieranych. I teraz znów, nietylko zaopatrzył okręt w świeżą żywność, wino i wodę i przyszedł raz jeszcze z pomocą pieniężną, lecz urządził dla podróżników wycieczki i polowania, aby się zapoznali z rozkoszną przyrodą zwrotnikową.

Następnie okręt „Łucya Małgorzata“ zatrzymał się na wyspie Teneryfie, gdzie władze miejscowe z wielką przychylnością przyjmowały i ugaszczwały podróżników naszych. Urządzano dla nich świetne bale u gubernatora miasta Santa Cruz de Tenerifa i u admirała eskardy francuzkiej. Ten ostatni obiecał nawet w razie potrzeby wysłać na wybrzeże afrykańskie okręt francuzki do rozporządzenia pana Rogozińskiego, a nadto dał mu listy polecające do portów afrykańskich.

Ostatni list pisany był przez pana Janikowskiego, jednego z towarzyszy p. Rogozińskiego, z miasta portowego Monrowii. Jest to stolica małutkiego kraiku afrykańskiego, zwanego Liberyą, którego dzieje są bardzo zajmujące. W r. 1821

utworzyło się w Stanach 7jednoczonych Ameryki Północnej stowarzyszenie dobroczynne, w celu wykupienia z niewoli nieszczęśliwych murzynów i odsyłania ich do ojczystej ziemi. Ażeby jednak nie powrócili do stanu barbarzyństwa, w którym pogrążone są dzikie plemiona afrykańskie, towarzystwo zakupiło nadbrzeżny pas ziemi u krajo-  
wców Gwinei północnej, i założyło tam miasto, które na cześć ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Monroe, nazwano Monrowią, krak zaś, na pamiątkę odzyskaną przez mieszkańców jego swobody, otrzymał nazwę Liberyi.

P. Szolc Rogoziński parę dni tylko wypoczywał w Monrowii, niezadługo zapewne okręt Łucya Małgorzata dopłynie do celu, a garstka podróżników wysiądzie na dzikie wybrzeże i zapuści się w głąb nieznanego kraju. Wówczas już przez czas dłuższy nie będziemy mieli żadnej wiadomości o dzielnych wędrowcach, aż znów kiedyś nadejdą wieści, oby tylko pomyślne, o dalszych losach ich w puszczech afrykańskich.

### WRAŻENIA WIOSENNE.

Gdy wiosną wszystko kwitnie w około,  
I wszędzie woń swą mile rozlewa,  
I gdy tak wszędzie jasno, wesoło,  
I słońce świeci, i słowik śpiewa...

Lubię ja wtedy wejść do ogrodu,  
Patrzeć na jasne wiosny wesele,  
I tak się modlić wśród drzew i chłodu,  
Jak gdybym była w święto w kościele.

Jakże te wszystkie cudowne kwiaty,  
Wzrok nasz ku sobie mile zwabiają,  
Ubrane w szkarłat, czy też w bławaty  
Cześć zawsze, wszędzie, Stwórcy oddają.

Godło skromności, wonny fioletek,  
Pod liściem tuląc główkę nadobną,  
Czeka aż jaki dobry aniołek  
Ześle mu rosy kropelkę drobną.

Uroczą róża, kwiatów królowa,  
Którą lodyga kołcami zbrojna;  
Dumnie wzniesiona piękna jęć głowa,  
Bo o królestwo zawsze spokojna.

Dalęj przesłiczna lilijka biała,  
Godło anielskiej, świętej czystości,  
W niebo się wznosi główka nieśmiała,  
Jakby pragnęła — Nieśmiertelności!...

Lewkonia swoją koronę schyla  
Do rosnącego obok gwoździka,  
Zda się towarzysz życie umiła,  
Szepcą uczucia szmerem wietrzyka.

Obok cesarska dumna korona  
Pochyla kielich, deszczu czekając,  
Któryby spłynął do ziemi łona,  
Zwiędłe już kwiaty znów odświeżając.

Dalęj znów rosną bzy i jaśminy,  
Konwalia, powój, rezeda, bratki,  
Werbeny, astry i balsaminy,  
I inne jeszcze przeróżne kwiatki.

Dzięki Ci, Stwórco, Boże przedwieczny!  
Za Twą ojcowską pieczę nad nami,  
Za to, że człowiek żyje bezpieczny  
I otoczony Twemi kwiatami.

Józefa D.

### OPIS ZIEMI RODZINNEJ,

przez Karolinę Gr.

Za lat cztery mam cię opuścić, najdroższa Ukraino! Nie wiedząc, gdzie mię losy skierują, chcę przedtém, aby młodzież, mająca tu rodzinę, a nieznaną tych okolic, mogła choć w części z tego opisu podzielić moje zdanie o tobie, ziemio moja rodzinna. O ile więc potrafię, chcę skreślić twój obraz. Ukraino, kocham cię całym sercem i duszą, chcę żyć, aby móz służyć tobie godnie i nigdy nie przynieść ujmy mianu Ukrainki. Póki więc siły starczą, słać cię i miłować nie przestanę, chociażby mną los rzucił jaknajdalej, nigdy nie zapomnę o tobie; po latach wielu i wielu zachowam zawsze pamięć o luběj Ukrainie, która mnie wypiastrowała. Z myślą o tobie pragnę służyć piśmiennictwu, a usługa to jeszcze zbyt mała, bo jestem młodziutką, lecz pracując, ufam Bogu, że dopomoże w spełnieniu zamiaru, a z czasem więcj uczynię.

Ziemia ukraińska ciągnie się od stoków gór Miodoborskich ku wschodnio-południowej stronie, ukazując rozległe niwy, nie objęte wzrokiem na wstępie. Przybliżając się ku północy Polesia, odpływa tu rzeka Słucz i Boh bieży ku Czarnemu morzu. Przy rozejściu się obu tych rzek, poczyna się Czarny szlak, czyli zagon tatarski, od którego spływają wprost ku wschodowi cztery doliny: Teterowa, Irpinia, Rosi i Tasminy, dążąc do Dniepru a ku południowi doliny Wielkiej i Małej Inguły, na Liman, z ujściem zaś rzek Dniestru i Bohu kończy się kraj wązkim klinem, na południe przegami Limanu.

Charakter ziemi stepowy, chociaż upowszechnione wyobrażenie, że na Ukrainie niema lasów, jest mylne; dałoby się to tylko powiedzieć o właściwym stepie; przeciwnie, rozległy widnokrąg

prawie wszędzie zakończy ciemny rąbek lasów. Na północnej stronie Ukrainy, graniczącej z Polesiem, porasta kraj sosną i pomiędzy lewym brzegiem Teterowa, a prawym Słuczy, ciągną się miropolskie, łukowieckie, pielińskie i inne bory. Zresztą nadają wyraz tej ziemi dąbrowy, które są śladem i szczątkami odwiecznych pierwotnych lasów, a płacząca brzoza, tyle mająca uroku dla Ukraińców, coraz więcej miejsce ich zajmuje i nigdzie nie bywa tak bujną, jak tu. Rzeki niektóre, stanowiące jeziora i stawy, w dalszym dopiero biegu wyłabiają sobie łożyska głębokie w ziemistej caliznie lub w granicie stepowym. Zresztą są i koryta stałe, które kierunku swego nie zmieniają.

Ziemia ukraińska urodzajna, powiadają, że po egipskiej najlepsza, jest to czarnoziem, który nawet przy mniej starannej uprawie obfite plony wydaje. Miejscami można napotkać i piaski między Irpinem a Rosią, na wschód od Białej Cerkwi, miasteczka będącego własnością hr. Branickiego, gdzie jest znany ze swej piękności park Aleksandrya, aż do północnych okolic, do tak zwanych Żytnich gór. Strefa na Ukrainie prawie dwojaka: na południe i ku wschodowi ciepłe wiatry do morza wieją i podniesienie pokładów granitowych kraj od północy i wschodu zasłania; klimat jest łagodny, stały, może być uważany za przejście do krajów południowych; na wysokości zaś pól i stepów, gdzie śniegi ziemię pokrywają, klimat niestały, zmienny i zimny.

Charakterystykę Ukrainy stanowią często tu spotykane futory, oazy naszych trawnych pustyń, zasiane gęsto na rozległych obszarach. Są to małe zagrody wśród lasków, sady, czasem pasieki i tak zwane basztany, na których sieją kawony i melony, stanowiące roślinne źródła stepów, w czasie upałów letnich brak wody zastępujące. Każdy nasz wieśniak posiada przy chatce sadek, a w polu futor. Cóż to za wspaniały widok, gdy drzewa tam rozkwitną, a są to po większej części czereśnie, gruszki, jabłka. Dokoła rozrasta się krzewista czeremcha i rozłożyste kasztany z obszernym liściem, okryte kwiatem, a rankami i wieczorami wznosi się niebieski dym nad futorem z małego ogniska, nad którym siedzi stary dziadus pasiecznik, дума o dawnych czasach, podparłszy głowę na rękę.

Co zaś do stepów, te przedstawiają osobliwy widok i piękny zarazem. Na wiosnę, po zejściu śniegu, są to obszary pokryte zielenią; oko nie zdoła objąć tego, co widzi. Często można napotkać kotliny porośnięte turzycą, tatarakiem i trzciną, zwaną tu oczeretem; po tych gąszczach, jak po kniejach, polują myśliwi. Szelest tych oczeretów, spowodowany pędem wichru, wydaje dźwięk osobliwy,

niepodobny do szmeru lasów lub wód, przeciągły i rzewny, zgodny z widokiem tej ziemi i ojczyzną mogli.

Wsi i miasteczka ukraińskie są gęściej i rzadziej osadzone, w miarę, w jakim powiecie; i tak w tym, gdzie się znajduje wieś, trzymana przez rodziców moich w dzierzawie, są zbliżone jedne do drugich; mają dużo mieszkańców, których chaty o jednej niewielkiej izbie, u zamożnych bywa i dwie i trzy. Każdy wieśniak ma spory kawał gruntu, chatę otoczoną ogrodem z zabudowaniami gospodarskimi; lud ten, zwłaszcza u nas, bardzo jest zamożny. Mężczyźni pracują koło roli i handlem się trudnią. Strój ich składa się z koszuli wyszywanej czerwonymi nićmi, z czarnej długiej świtki, spodnie noszą szerokie, długie buty, zielony lub innej barwy pas, siwą barankową czapkę wśród zimy, latem zaś zwyczajne czapki, lub okrągłe kapelusze, plecione ze słomy, ich własnoręcznej roboty. Taki jest strój chłopów. Drobną szlachta ubiera się w zwyczajne surduty.

Kobiety, czy to zamężne czy dziewczki, noszą buty czerwone i żółte od święta, koszulę wyszytą z przodu i na rękawach, co się w narzeczu ludowym zowie połykami; najczęściej czerwoną spodnicę, koszulę bufiasto wiszącą z przodu, biały fartuszek, chustka zawiązana na głowie dopełnia stroju mężatki. Dziewczęta mają włosy splecione we dwa warkocze, założone naokoło głowy, przystrojone wiankami z sztucznych kwiatów, mnóstwem kolorowych wstążek; na szyi, tak mężatki jak i dziewczęta, noszą korale i różnokolorowe paciorki. Chodzą one wśród lata na żniwo do właściciela wioski, a gdy ukończą dożynki, ubierają najładniejszą dziewczkę w wianek zbożowy, prowadzą do dworu, składając życzenia gospodarzowi, za co otrzymują podarunki. Zimą zaś trudnią się najczęściej u siebie gospodarstwem domowym, przędzeniem lnu, z którego wyrabiają płótno na odzież; sąsiadki przychodzą często jedne do drugich z robotą, to się nazywa *odenkami*. We święta zaś cała prawie ludność zbiera się przed karczmą, gdzie młodzież zabawia się tańcami, starsi rozmową, odwilżając gardła jakim napitkiem. Wieśniacy tu są poczciwi i roztropni, nisko jednak stoją pod względem oświaty, rzadko który z nich ma pojęcie o czytaniu, chociaż w każdej wiosce jest szkołka, ale dzieci chodzące na naukę nie wiele korzystają, bo rzadko kiedy i sam nauczyciel umie dobrze czytać. Wprawdzie sami temu winni, bo nie pragną nauki, nieraz zapytywałam wiejskich dziewcząt, czyby która chciała uczyć się czytać? Wszak mogłabym na to znaleźć czas codziennie; lecz każdej to się wydaje tak trudne i straszne, że dobre chęci moje spełzyły na niczym. Wolą one

pracę innego rodzaju. Ta niechęć do nauki nie zraza mnie do rozmowy z niemi. Lubię lud ukraiński, z przykrością myślę o rozstaniu się z wioską, w której dotychczas mieszkałam, jak również z okolicznymi sąsiadami którzy przez kilkanaście lat stosunków z rodzicami, okazywali im szacunek i przyjaźń, a nam wszystkim dzieciom życzliwość.

To też oddalając się z tych stron serce me pozostało na zawsze w lubej Ukrainie i przy jej mieszkańcach, tak krewnych jako i znajomych, którzy mi tyle przyjaźni okazywali, nie ganiąc mojej ochoty do pisania, a owszem nieraz wyrzeczonym dobrem słówkiem przyjemność sprawiali i zachęcali do dalszej w tym kierunku pracy. Dzięki więc im za to stokrotne, jako i osobie, która mi pierwsza ukazała tę drogę życzliwością, radami i obietnicą kierowania mojemu usiłowaniu. Jak wiele za to czuję dla niej wdzięczności, pióro i usta nie potrafią wyrazić. Bóg jej to wynagrodzi, a czas okaże, czy urzeczywistnią się marzenia!

## RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

Po jego odejściu, Aneczka długo z załamaniem rękoma patrzyła przez szybę za nim, wlokącym się leniwie ulicą; pytała sama siebie, czy taki zupełny upadek na duchu nie był jeszcze gorszym, niż choćby nawet i „bisurmanienie“ się drugiego chłopca, jak jego nieszczęśliwą swawolę kupiec nazywał?

W niedzielę przyszła Kasia, która znając dokładnie wszystkie Aneczki zmartwienia, nie dodawała jej nowych; owszem, współczuła z siostrą zupełnie; płakała jeszcze rzewniej od niej i dała pokój przechadzkom i przyjaźniom ze starszemi koleżankami sklepowemi. Ale mimo to wszystko spytała Aneczki, czy teraz, kiedy wraz ze schudnięciem pugilaresu i z roztrzepaniem jednego chłopca a ostygnięciem w gorliwości drugiego, ulotniło się marzenie o domku w zieleni, czyby i ona nie mogła zaprzestać oszczędności swych i tak już nie dużych?

— Bo i na cóż zbierać pieniądze bez celu? czy nie lepiej nie żałować sobie na ładne ubranie?

A gdy Aneczka przystała na wszystko, byle tylko przyjaźń z siostrą zachować i przez tę przyjaźń powstrzymać ją od zbytecznych przynajmniej strojów i niepotrzebnych przyjaźni, Kasia spytała dalej, jak to będzie z owym dawnym ka-

piąłem ulokowanym u kupca? Bo nie ulegało wątpliwości, że chłopcy, wyczerpawszy stary pugilares, zabiorą się do tamtego kapitału, który, jak dłużej i powolniej był zbierany, tak też i istniał dłużej. Czyby nie wypadało uprzedzić kupca, że i one obie miały w owym kapitale część swoją?...

Aneczce przykro się niesłychanie zrobiło na te siostry pytania, bo Aneczka z całego rodzeństwa najbardziej do ojca była podobną pod względem bezinteresowności, więc dreszcz ją przeszedł na przypuszczenie możliwych sprzeczek o pieniądze między rodzeństwem... Ale ukryła roztropna dziewczyna przykrość swoją, aby siostry nie zniechęcać, i powiedziała, co było prawdą, że sama nie wie dobrze co i jak będzie z kapitałem u kupca, ale że prawdopodobnie ta sprawa musiałaby się już chyba oprzeć o ojca, ponieważ ojciec go u kupca lokował, a jeżeli kto, to taki kupiec właśnie będzie się trzymał w takim razie form i zwyczajów przyjętych. Kasia odeszła więc uspokojona w obawie swojej pieniężnej i z postanowieniem wydawania wszystkich swych pieniędzy na ubranie.

W skutek tak dyplomatycznego obejścia się z siostrą, zyskiwała Aneczka jej szczerłość zupełną, i mogła czasem wyperswadować jakiś krok lub wydatek niewłaściwy, za co Kasia lekkomyślna, ale w gruncie dobra, wdzięczna bywała później siostrze, zrozumiałszy raz przecież jej sposób widzenia rzeczy. Takim sposobem raz, zamiast pięciorublowego wachlarza, dała się Kasia namówić na tuzin pończoch nowych, gdyż stare były już tak podarte, że niepodobna ich było cerować dłużej. Drugi raz zamiast kapelusza za dwanaście rubli, kupiło się kapelusz za dwa i ubrało własnoręcznie piórkami i wstążkami niezbyt zniszczonymi od dwóch dawnych kapeluszków, a za dziesięć rubli kupiło się pół sztuki porządnego płótna na bieliznę. Kasia wkrótce sama już zapragnęła kupić drugie pół sztuki na drugie pół tuzina; co ucieszyło Aneczkę, tém bardziej, im pewniejszą była, że ucieszyłoby i matkę.

I tak szła dalej ta dyplomacya pomiędzy siostrami, aż starsza podszeptała młodszej, że dobrze by było uskąpić sobie wstążeczek, i buciki nosić dwu rublowe zamiast pięciu rublowych, a z oszczędności sprawić sobie okrycie futrzane zimowe z ładnym kołnierzem. Na taką świetną myśl Kasia aż oczy przymrużyła na chwilę, jak błyskawicą olśniona, bo już w duchu ujrzała się wystrojona w śliczne futerko. I zaraz zaprzestawszy zbytkownych wydatków na drobiazgi, na które dużo pieniędzy się rozchodzi, zaczęła zbierać oszczędności na futro, zrozumiałwszy różnicę między marnowaniem a wydawaniem pieniędzy.

Gdy raz tak w niedzielę dwie siostry radziły

nad braćmi, idącymi dalej po ścieżkach, na które się zablakali, mimo wszelkich usiłowań ku ich nawróceniu przedsiębranych i nad przeciągającą się nieobecnością rodziców, i nad tęp, czyby w czasie zbliżających się wakacyj nie można tych rodziców odwiedzić, i czy to nie jest szaleństwem, że się dotąd całej prawdy rodzicom nie napisało, aby oni na chłopców wpłynęli?... Gdy siostry tak radziły po cichu a smutno, nagle drzwi roztworzyły się gwałtownie i dwaj bracia, jak szaleni wpadli do pokoju. Oleś z listem otwartym w ręce, wymawiając jakieś niezrozumiałe wyrazy, Kazio zalany łzami, nie mogąc słowa przemówić.

Dwie dziewczyny zerwały się, chwytając za list, pewne jakiegoś nieszczęścia u rodziców, ale chłopcy bronili im listu, zapewniając, że się nie stało nic nadzwyczajnego, a jednak powtarzając, że trzeba mieć odwagę, co wszystko razem z ich powierzchownością mogło naprawdę i najodważniejszego przestraszyć, bo oczywistym było, że oni chcieli siostry niby to do jakiegoś nieszczęścia przygotować, a robili to tak niezręcznie, że nawet małe uczennice Aneczki przelekły się i pobiegły po ratunek do matki.

Pani weszła natychmiast, a spojrzawszy na pomieszane rodzeństwo i wzięwszy list z ręki Olesia, przebiegła go oczyma i rzekła:

— Ojciec wasz złamał rękę, spadłszy z wysoka przy malowaniu sufitu, ale będzie zdrów, bo jest silny, i jeszcze nie stary. Wszakże, ponieważ leczenie będzie bardzo długie i kosztowne, a on we własnym interesie nie chce naprzód wybierać zapłaty za swoją robotę, więc prosi was, abyście mu pożyczyci swoje pieniądze, złożone u kupca. Ręką przy dobrém leczeniu prędko się zrośnie i zgoi, robota nie pilna, a dobra, zapłaci wszystko, i straty wynagrodzi, a domek w zieleni was nie minie. Ale nie trzeba się martwić, abyście się sami nie pochorowali, bo teraz od ojca żadnej pomocy spodziewać się nie możecie przez czas jakiś, a nawet może wy jemu będziecie musieli pomagać. Nie trzeba także wybierać się do rodziców na wakacje, o czém oni sami myśleli, bo największa oszczędność jest do czasu konieczną. Matka pisze ten liścik do Olesia, jako do roztropnego chłopca, który powinien już być mężczyzną, znieść tę wiadomość spokojnie, i siostry i młodszego brata do niej przygotować.

— Niema co, ślicznieś się z polecenia wywiązał, moje dziecko, — rzekła pani do Olesia, dając list Aneczce, — dziewczyny aż odetchnęły dowiedziawszy się prawdy, po twojem przygotowaniu.

— To, co jest u kupca, nie wiele znaczy, myśmy przez jeden rok blisko drugie tyle uzbierali, i... i zmarnowaliśmy, a teraz, teraz może to, coś-

my zmarnowali, stanowiłoby o życiu ojca i o całym losie, całym życiu matki i nas wszystkich, i Koci małej, która jest z rodzicami. O ja nieszczęśliwy! cóż ja zrobiłem! — zajęczał Oleś, nie słysząc słów pani domu, i w przystępie rozpaczy stanął, jakby osłupiały, z załamaniem rękami.

Krzyk powstał w pokoju, bo cała postać chłopca, zaciśnięte zęby i obłąkane oczy przeraziły wszystkich. Siostry rzuciły się do niego z płaczem, chwytając go za ręce, pani nawet krzyknęła, a małe jej córeczki oczywiście za nią. Kazio płakał w głos w kącie schylony.

Po chwili jednak wszyscy oprzytomieli, Aneczka zwróciła się do pani, aby ją za ten niepokój w domu przeproszać, ale pani uściskała ją, zapewniając, że się nie gniewa, a gdy Aneczka poprosiła o pozwolenie wyjścia natychmiast na miasto, pani najchętniej pozwoliła, pytając tylko co myśli począć, aby mogła jej dopomóc w razie potrzeby i możliwości.

— Zdaje mi się, że przedewszystkiém trzeba iść do kupca i pieniądze rodzicom posłać, a dopiero czas będzie o czembądź inném pomyśleć — rzekła Aneczka.

Gdy pani potwierdziła i pozwoliła wrócić wszystkim czworgu na wieczór do jej domu, aby naraździć się mogli, Aneczka zabrała się do wyjścia. Chłopcy zawstydzeni żegnali właśnie panią, przepraszając ją prawie, jakby przepraszali matkę, gdy starsza z dwóch małych uczennic Aneczki, wspiąwszy się matce do ucha, coś jej szeptać zaczęła...

— A i owszem, czemuż nie; tylko trzeba ci iść o to panny Anny poprosić — odpowiedziała matka głośno.

Aneczka już w progu zatrzymała się, a mała dziewczynka, przybiegłszy do nauczycielki i ściskając ją, poprosiła o dołączenie do owych pieniędzy, przeznaczonych dla tego pana, co rękę złamał, trzech przeszlicznych dukatów błyszczących, które mała uczennica niedawno dostała na imieniny od ojca, a teraz już w rączce trzymała. Daremnie nauczycielka chciała dziecku tłómaczyć, że ta wielka ze strony małej właścicielki ofiara nie jest konieczną; lży zabłysły w wesołych zwykle oczkach dziecka i trzeba było wziąć dukaty, choćby na pamiątkę, ku wielkiej uciesze dziewczynki, a większej jeszcze jej matki.

Sprawa u kupca załatwiła się niezwłocznie i pieniądze posłano, przyczém pokazało się, że spora sumka wydobyta ze starego pugilaresu mogła być do nich dołączoną. Były to oszczędności samej tylko Aneczki, gdyż nawet owe dziesięć rubli, miesięcznie pobierane za wynajęcie Izby Radnej, chłopcy zabrali i wydali. Okoliczność ta wróciła

najstarszej siostrze całą moralną powagę, jaką niegdyś miała w rodzinie.

Wieczorem rozmówiono się w pokoiku Aneczki po cichu i krótko, bo troje młodszych przyjmowało tylko wnioski najstarszej i zatwierdzało je bez wahania. Kazio, straciwszy rok z powodu zbytnej gorliwości, miał teraz obowiązek zapracować na siebie, ale nic więcej. Żadnej pomocy dla ojca nie wymagano od niego, bo klasy należało przejść koniecznie, i utrzymać się z pracy, a to było aż nadto dla tak młodego chłopca; Aneczka nawet ofiarowała wpis za niego ze swojej pensji zapłacić. Oleś za to miał prawo wkładać w pugilares dla przesłania rodzicom ile chciał, byle nie więcej nad trzy czwarte jago pensji u kupca; reszta przeznaczona była na jego własne potrzeby: ojcu niemiłoby były pieniądze zarabiane po kawiarniach i ogródkach.

— Cóż za szczęście, że ja choć koszule a nie wachlarze za moje pieniądze sobie sprawiłam! przynajmniej teraz będę mogła przez parę lat ani grosza na siebie nie wydawać — zawołała Kasia.

— Więc koniec końców tylko dziewczyny będą teraz na prawdę cośkolwiek posyłać, bo trzy czwarte mojej pensji, to tak jak nic! — zawołał Oleś, gdy wyszedłszy od Aneczki, szli ciemnym już wieczorem przez ulicę, trzymając się z Kaziem pod rękę.

— Kobiety! — jęknął Kazio z trochę podobnym do dawnego Lelewela akcentem, — i rok stracony, to wstydy! hańba!

— A! jak się masz! chodźno, Aleksandrze, jest tu bardzo ważny do ciebie interes, — rzekł w tej chwili jakiś szczupły, wysoki mężczyzna, który zdawał się po chodniku przechadzać, a teraz, przyjrawszy się dwom braciom z bliska, chwycił Olesia pod drugą rękę i chciał go z sobą gdzieś w bok od Kazia odciągnąć. Ale Oleś wyrwał się gwałtownie, mówiąc z gniewem.

— Dostyć tego! ja cię znać więcej nie chcę! dostyć ze mnie pieniędzy wyssałeś, nie napastuj mię, mam ja co innego na głowie.

I poszli dwaj bracia w swoją drogę, zostawiając Antka w złości na środku chodnika.

— Ha — rzekł wtedy Oleś, — wszystkobym sobie już nareszcie wybaczył, ale znajomości z tym ulicznikiem nie przebaczę sobie nigdy. Bo przecież ojciec ostrzegał nas zawsze, aby się z lada kim nie wdawać, i jeszcze odjeżdżając mówił do mnie, że o to jedno jest przynajmniej spokojny, iż ja się w złe towarzystwo uplatać nie dam, a tu jak na toż, ja się właśnie uplatać daję, i wpadam w kałużę, wiedząc, że w nią wpadam. To okropność! czyliż człowiek sam siebie nie powinienby w takim razie ukarać! Ten ulicznik pochlebstwami

i drwinami z tego, że mnie siostra krótko trzyma, zupełnie mię odurzył...

We trzy miesiące od tego dnia, siedział sobie stary kupiec w swoim sklepie przy pulpicie i pisał, spoglądając czasem na Olesia i innych chłopców, usługujących licznym gościom. Kupiec pisał list następujący:

„Szanowny pan malarz, mój przyjaciel”.

„Niech szanowny pan malarz będzie spokojny, bo jak ja powiedział, że wszystko będzie *ganz gut*, tak stało się, że wszystko jest *ganz gut*. *Gott sei dank*, że pan już zdrów; a teraz można powiedzieć po waszemu, że niema tego złego, coby z niego nie było dobre. Bo ten pański złamany kość sam ze siebie naprawił tu na jeden raz wszystkie krzywe interesa między ten młody kwartet pański, o którym my ze sobą korespondujemy. Był krzyk i desperacja o zmarnowany pieniądz, ale teraz już burza ucichła, a cztery łódka płyną teraz tak *ganz recht*, aż jabyłem chciał zaproponować panu, aby dzieciom nie powiadać, że pan ze wszystkiem zdrow, a to po to, aby te łódka znów nie skrzywiły się w biegu tak, jak wprzód, tylko *weiter* płynęły tak, jak teraz, *ganz recht und hübsch*. Co pan na taką fortel wojenny, he?”

Niewiadomo, co malarz na list ten odpowiedział, pokazuje się wszakże, iż fortelu wojennego nie użył; dzieci, dowiadując się szczegółowo co parę dni o przebiegu jego choroby, dowiedziały się też natychmiast i o wyzdrowieniu jego. Co zresztą nie mogło wpływać na zmianę biegu ich łódek, bo przez kilka jeszcze miesięcy malarzowi nie wolno było pracować, a nakazano było pozostać na wsi, o czém dowiedziawszy się dzieci oczywiście same błagały o to, choć im tęskno było do rodziców.

Więc przez pół roku przeszło płynęły sobie cztery te łódki teraz jednakowo i spokojnie. Aneczka posyłała zawsze prawie całą swoją pensyjkę, bo jeżeli o pieniądz nie dbała dla siebie, jak ojciec, to znów o stroje troszczyła się prawie tak mało, jak matka. A przytém zadowolona z niej bardzo pani domu przychodziła jęj w pomoc różnemi podarunkami.

Tak samo prawie działo się też i z Kasią, która po wiele razy podziękowawszy Aneczce za to, że jęj marnie trwonić grosza nie dawała, teraz zaczęła go znów cenić nieledwie zanadto, wpadając, jak to bywa przy żywym usposobieniu, w przeciwną przesadę; teraz Kasia, nie wydając na ubranie nic prawie, musiała przecież od czasu do czasu kupić sobie choć buciki, więc na bucikach tych oszczędzała aż do skąpstwa, kupując co najprostsze, a mocne i tanie, byle tylko choć parę złotych więcej odnieść Aneczce, u której znów w starym pu-

gilaresie lokowano kapitały, aby je co miesiąc razem odsyłać na wieś.

Posyłki zwiększały się znacznie pensją Olesia, który został teraz nareszcie subjektem, a więc i pensją większą pobierał. Jeden Kazio znów tak, jak z początku, nie składał nic. Ale za to utrzymywał się sam. W owym chorobliwym spoczynku przeszłorocznym nabrał on, sam niewiedząc o tém, nowych sił, które się teraz znalazły, a z niemi i zdolności, ku radosnemu zdumieniu chłopca. Więc wyrzekłszy się owęj chciwości, która przeszłego roku popychała go do pracy nadmiernej, Kazio umieścił się za korepetycyę, przyjął prócz tego już tylko jedną, jedyną korepetycyę, i uczył się na gwałt, aby przeszedłszy klasy co prędzej, zacząć dopiero pracować dla materyalnych zysków. Szło mu teraz doskonale, lecz rok stracony, o którym dotąd ojciec nie wiedział, stał mu ciągle przed oczyma duszy, jak straszdyło, odpędzające wszelkie zachcianki brania ciężarów nad siły; drugiego roku *takiego* Kazio chyba nie byłby przeżył. Antek i jemu podobni krążyli koło dwóch braci, ale krążyli naprzódno.

— Aneczko, ty, któraś naprawdę od nas rozumniejsza, powiedz ty nam, dla czego my tego roku prowadzimy się lepiej, niż przeszłego, kiedy rozumu nie przybyło nam pod tym względem wraz z doświadczeniem, bo i Kazio przyznaje się, że mu już i w przeszłym roku coś jakby szeptało zawsze, że podjąwszy się za dużo korepetycyi, źle na tém wyjdzie, i ja, wdając się przeszłego roku z Antkiem, zarówno dobrze wiedziałem, co on jest, i co mię w jego towarzystwie czeka, jak wiem dzisiaj. Dla czegoż więc wprzód daliśmy się złudzić i unieść, jakby gorączce jakiejś, a dziś obaj czujemy, że jesteśmy od niej bezpieczni? — tak pytał raz Oleś.

— Cóż ja mam wam tłómaczyć to, co ktoś od nas wszystkich rozumniejszy dawno wytłómaczył nam wszystkim; przypomnijcie sobie.

— Co, kto, ojciec? alboż co ojciec o tém kiedy mówił?

— Przecież ojciec chyba nic jeszcze o całym przeszłym roku nie wie? czy wie?

— Nie; ja przynajmniej nic nie pisałam o tém, coby go tylko zmartwić mogło; uspokój się, Kaziu.

— Więc cóż o tém ojciec mógł mówić?

— Nie o tém mianowicie; ale przypomnijcie sobie, jak raz dawno już porównywał życie każdego z nas do łódki, rozum do sternika, a obowiązek do balastu; i utrzymywał, że tylko z takim balastem łódka może płynąć spokojnie i równo. Przypomnijcie sobie, jak uczył nas wtedy odróżniać obowiązek od fantastycznych własnych naszych urojeń. Otóż, czyliż nie widzicie teraz, że doświadczenie

wasze potwierdziło tylko ojca doświadczoną teorią? Dopóki płynęliśmy łódkami naszymi pod okiem ojca, z nauką za balast, wszystko było dobre, bo ta nauka zabierała nam cały czas wolny i ciężarem swoim równoważyła nasze dziecinne zachcianki, nie pozwalając im nas unosić. I chociaż ojcowskiego oka nad nami zabrakło, przecież przy nauce, która nas jednoczyła, płynęliśmy jeszcze równo czas jakiś, aż, powiedzmy prawdę, z tęsknoty za rodzicami sprzykrzyło się nam wszystko, a nauka nasamprzód. Więc wyrzuciliśmy ten balast z łódek naszych i odrazu też rozlecieliśmy się na wszystkie strony, jakby wiatr nas unosił. I tułaliśmy się tak z próżnemi łódkami, tułali każde prawie oddzielnie, aż...

— Aż co? przecież nie zabraliśmy się znów do nauki?

— Nie; bo co z woza spadło, to przepadło; nie mamy nauki za balast, ale balast mimo to mamy, i doskonały; bo przecież balastem właściwie nie naukę ojciec nazywał, i nie ona nim też była.

— Tylko co? przecież sama dopiero powiedziałeś, że nauka?

— Nie; wprawdzie nasz dawniejszy balast tak się nazywał, ale w gruncie rzeczy, wedle ojca teorii, był on, jest i pozostanie tém, co się nazywa: Obowiązek. Czy Antek potrafiłby teraz namówić Olesia na zmarnowanie jednej złotówki, kiedy Oleś ma obowiązek oddać tę złotówkę, nie na urojony domek w zieleni, ale na wygody dla ojca?

— Ja? niech spróbuje! Żaden Antek na świecie... wprzódbym...

— No no, daj pokój przechwałkom, przypomnijmy sobie lepiej, co to matka opowiadała o męczennikach, wyzywających niebezpieczeństwo, z których bywali odstępcy, i o słabych, cichych chrześcijanach, którzy siłą nabywali w chwili niebezpieczeństwa... przypomnijmy to sobie i płynmy dalej ostrożnie a prosto, z naszym świętym obowiązkiem za balast.

— Płynmy; ale przedewszystkiém, czyby nie wypadło napisać do ojca, żądając w imię naszego wspólnego interesu, żeby jeszcze się w tym miesiącu do roboty nie zrywał? Bo ja się czegoś boję: ja czytałem i słyszałem, że trzymanie pendzla w ręce, nie dobrze zrośniętęj, może ją wysilić nieledwie tak samo, jak siekiera... a to podobno rzecz bardzo niebezpieczna po złamaniu ręki takie wysilenie. Możeby napisać.

— Trzeba napisać. Przecież my to, co posyłamy teraz, możemy stale posyłać; a na wsi życie tańsze; i ojciec sam pisze, że mu to wystarcza.

— Trzeba napisać.

Tak radziło czworo rodzeństwa w niedzielne popołudnie, w które to wolno było Aneczce tych



gości swoich przyjmować. Napisano do ojca, żądając od niego jednomyślnie trzech miesięcy jeszcze odpoczynku dla ręki, i ojciec przystał.

W zimie o jasnym, mroźnym dniu, wszedł między innymi jakiś gość w futrze do sklepu, w którym subjektem był Oleś, i prosto do niego się skierował. Oleś poskoczył, aby spytać, czém ma służyć, i jeszcze raz poskoczył — ojcu na szyję.

(D. n.).

kłych, młodych, miejscami otwartej przestrzeni, z kądem się odsłaniał piękny widok na rozrzucone po wzgórzach domki przedmieścia Winiawy (rodzinne gniazdo Winiawskich) na staw u dołu, na górze wioskę Czechówkę z murowanym dworem i w dali widniejącym laskiem, brzezinką.

Ogród ten, założony w 1837 roku, rzeczywiście piękny, obszerny, na falującym położony wzgórzu, przypomina ogród botaniczny warszawski; posia-



Krajobraz algierski (str. 331).

## ZŁE WSPOMNIENIE DZIECIĘCYCH WŁODZIA T...

Piękny jest w Lublinie ogród, Saskim zwany, położony przy Warszawskiej rogatek; stanowił on dla nas miejsce miłego spaceru, gdzie rozkosznym można było odetchnąć powietrzem, nacieszyć malowniczym widokiem zielonej murawy, umiejętnie na niej rzuconych gęstych klombów drzew wysmu-

da również oddział, gdzie się znajduje szkółka rzadkich krzewów i drzew. Mnie utkwiło w pamięci ogromne drzewo cierniowe, rosnące przy wejściu do ogrodu. Lubiłem także gajk brzożowy i sosnami zasadzoną polankę. Piękna też tam jest symboliczna grupa: wspaniała, wysmukła, ciemny świerk, przy nim wiotka brzoza biała, niby Litwa z Polską połączona!...

Przyszedł mi na myśl w tej chwili ustęp z wierszyka o brzozie, który mama napisała:

„Dla mnie śnieżna brzoza biała,  
Co się chyli rozmarzona,  
Wiotka ona, lecz wspaniała  
W jasne niebo zapatrzona! .  
Gdy nią straszny wicher miota,  
Choć się chyli... lecz nie złamie!  
Silna ona — jako cnota,  
A pokora to jej znamie”...

Nie wiem, czém to wytłómaczyć, ale ogród Sasaki w Lublinie nie był tak ciągle tłumnie nawiedzany, jak warszawski, położony wśród miasta. W wyjątkowych tylko chwilach świąt, loteryj, a w ogóle w sobotę, ogród się roił tłumem; przeważnie można tam było znaleźć ciszę, spokój i samotnie nieraz przebiegać pięknie utrzymane ulice parku. W ogrodzie, przy szosie naprzeciw koszar Sto-Krzyżkich, stoi na pagórku pomnik, wystawiony 1723 r. podczas morowego powietrza.

Z tego, com powiedział w tych moich wspomnieniach o Lublinie, widocznym jest, że miasto i zamknięte życie w murach nie dało się nam wcale we znaki!

Oprócz wyżej wymienionych miejsc naszych wycieczek i spacerów, odbywaliśmy nieraz piesze wędrówki do położonego przy szosie warszawskiej, o cztery wiorsty od rogatki Sławinka.

Między dwiema górami, w dolince, wśród drzew mniejszych i smukłych topoli, leży mały folwarczek, znany oddawna z dość silnych źródeł żelaznych; są tam nawet urządzone łaźienki i kilka wani w osobnych numerach, jest i rodzaj restauracyi i kregielnia, huśtawka, ginnastyka. Brak zupełny prawie znośnych mieszkań przyczyną jest tego, że niewiele osób zjeżdża tu na lato, chociaż omnibus stale kursuje między Lublinem i Sławinkiem i dowozi kąpielowych gości i miłośników spacerów, kwaśnego mleka i wiejskiej kawy!

Pierwszego roku naszego w Lublinie pobytu spaceru nasze skierowane były ku łąkom, leżącym nad rzeczką Czechówką i położonym w pobliżu jej ogrodem. Jedna z tych posiadłości należała do państwa K. z którymi przyjacielskie łączyły rodziców stosunki. Na górze, co się stromo spuszcza ku Czechówce, jest sad owocowy duży, a u stóp góry domków parę, kwiatowym otoczonych ogródkiem. Tam gościnnie przez zacnych gospodarzy byliśmy podejmowani, miłe nieraz spędzając dni i wieczory; często bywaliśmy zapraszani na podwieczorki, gdzie smacznie raczono nas nowalijkami. Bywały tam sławne pierogi z czernicami, wyborna śmietana z twarogiem, doskonałe ciasta, placuszki kolorowe, nawet kremy i galaretki, któ-

re nam tak bardzo smakowały! Tam się zwykle układały projekta majówek, wycieczek na orzechy, na rydze w jesieni, na rosnący w wąwozach berberys i tarki.

Aj! wesołoż to, wesoło było! Z domu wychodziliśmy zawczasu z koszyczkami, z których gorące pachniały serdelki, świeżo upieczone kurczęta i pierożki z jabłkami, misternie zalepionemi w słodką kopertkę z kruchego ciasta. Żwawo podzieliliśmy z góry z naszymi zapasami, z obawą oglądając na słońce, co często w takich chwilach uparcie za chmury się kryło. Co to było trwogi, aby deszcz miłej nie zepsuł zabawy! Najbardziej szło o to, byle raz wesoła gromadka z domu wyruszyć mogła i dostać się do lasu, daleko od domu, wtedy niech już deszcz pada!... to jeszcze nowa przybędzie zabawa!... Pozdejmujemy buciki, po mokrej biegać będziemy murawie, a gdy deszcz ustanie, duże jego krople strząsać będzie można znieacka na tych, co się przed deszczem pod drzewa schronili...

Wycieczki te odbywaliśmy z domu na Czechówce, w którym się mieściła fabryka narzędzi rolniczych weterana b. wojsk polskich, Mejznera. Dom ten i jego otoczenie opisałem na początku moich wspomnień, dziś chcę zaznaczyć tylko, że w tym domu właśnie mieliśmy szczęście witać babcię (przezwaną przez nas „dużą”) która wtedy pierwszy i ostatni raz była u nas z powodu tego, iż zawsze los rzucał rodziców moich z dala od ich kolebki, Ukrainy, a babcia chora i wiekowa już była. Było to w Maju 1872 roku, wtedy towarzyszyła jednemu synowi swojemu, ciężką dotkniętemu chorobą, która w kilka miesięcy później ze świata go zabrała. Babcia została u nas na parę miesięcy, a ojciec mój pojechał z chorym wujem za granicę, do Ems i Szwajcaryi; tamto obce powietrze miało mu wrócić uchodzące siły i zatrzymać przy życiu zacnego obywatela, dzielnego, młodego człowieka, ubóstwianego męża i ojca siedmiorga drobnych dzieci... próżne nadzieje! uciekające życie zatrzymać się nie dało, w kilka miesięcy po powrocie umarł wuj nasz, a mamy brat ukochany, w 33 roku życia, za nim w kilka tygodni dziwnym zrządzeniem losu poszła i żona jego, a dzieci gromadka osieroconą została!...

Babcia przeżyła jednego syna o lat dziesięć, obecnie właśnie, kiedy kreślę tę wyrazę, oplakujemy jej stratę; przeniosła się do wieczności dnia 9 Kwietnia roku bieżącego we wsi Lisowcach pod Pawołczą!... Z jej śmiercią Ukraina straciła dla nas jeden z największych swych powabów... Już we wspomnieniach tylko dziś szukać mamy tego starego dworu, uświęconego obecnością babuni, co mimo wieku i choroby, taki ład i porządek utrzy-

mać wszędzie umiała, siłą swojej miłości tak w około siebie całą liczną skupiała rodzinę. To też nie zważając na kilkudziesięcio-milową odległość, co rok prawie dążyliśmy z mamą ukraińskiem odetchnąć powietrzem, pokrzepić serce patryarchalną, ciepłą atmosferą cichego dworu, którego babcia była duszą... W tym bieżącym roku jeszcze wigilijnym łamaliśmy się z nią opłatkami, drogie całowaliśmy ręce, jęć błogosławieństwo nad naszą czując skronią... Bóg ją nam zabrał zbyt wcześnie!... Cześć jęć pamięci, co w naszych sercach żyć nie przestanie!

(D. c. n.).

## OKOLICE ALGIERU.

Piękna kraina, Algierę zwaną, do niedawna jeszcze była siedliskiem rabusiów morskich, którzy pładrowali po morzu Śródziemnym i wiele szkody wyrządzali okrętom europejskim. Kraj ten hołdował Turcy, ale rządził się prawie niezależnie, panujący samowładnie władca nosił tytuł deya. Rabusie algierscy tak dokuczali Francuzom, że ci w r. 1830 wysłali oddział wojska na wybrzeże afrykańskie i cały kraj opanowali, a deya wypędzili. Później walczył jeszcze długo z Francuzami o niezależność swojego kraju dzielny wódz arabski, Abd-el-Kader, ale wzięty w niewolę, musiał się poddać ostatecznie. Od tej pory Francuzi ciągle rozszerzają posiadłości swoje w Afryce. Algierę jest to kraina piękna, rozkoszna, niema tam zbyt wielu upałów, więc klimat jest zdrowy i przyjemny. Roślinność niezmiernie urozmaicona, pomiędzy drzewami odznacza się piękna palma daktylowa, właściwa tej strefie. Pisaliśmy już dawniej obszerniej o palmach, nie będziemy więc tego powtarzali.

## POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

Facetan w ciasnej swej głowie ułożył sobie, że gdyby Kongo nie był pierwszy wpadł do dołu, to i on, Facetan, nie byłby wpadł do swojego. Był jednak położenie jego o tyle mniej przykre od położenia towarzysza, że nie dręczyło go uczucie opuszczenia, i dla tego cicho i cierpliwie znosił swoje niedole. Wiedział, że Arend wróci wkrótce do obozu ze zbłąkanym koniem, że nie zastawszy ani służących, ani wiader na wodę, uda się w stronę brodu, jedynego miejsca sposobnego do czerpania

wody, a nim tam dojdzie, musi spostrzedz doły. Tak rozumował i skutkiem takich rozumowań czekał cierpliwie Facetan w swej jamie, podczas gdy Kongo złościł się w swojej, jak szalony.

## IV.

Pogrzebani żywcem.

Jednakże godziny upływały. W miarę jak słońce się zniżało, a cienie spływały na ziemię, ulatniały się nadzieje Facetana. Nie mógł pojąć, dla czego młody myśliwiec dotąd nie przybył go uwolnić. William, Henryk i Hans musieli już także powrócić, i wszyscy czterej przyjaciele powinni byli zająć się szukaniem zaginionej służby. Szczególniejsze okoliczności nakazywały dotąd milczenie Facetanowi, ale to milczenie stało mu się nakoniec nieznośnym tak, że uczuł gwałtowną ochotę okazać niezadowolenie i po swojemu uczynił to natychmiast w sposób, do jakiego nadawały się okoliczności, zaczął wołać:

— Hęj! Kongo! ty stary niegodziwco! czemu nie powracasz do obozu?

Głos Buszmana doszedł uszu Kafra, głuchy i słaby, a tak poznał od razu, z kąd ten głos pochodził i doznał ulgi niemałej; towarzysz jego siedział w jamie tak, jak i on sam, a to tłómaczyło przecież pozorną Facetana nieżyczliwość, Kafr tedy uśmiechnął się, odpowiadając:

— Facetanku kochany, ja na ciebie czekam, nie chcę wracać do obozu, a ciebie zostawić samego.

— Eh, toby tam dbał o twoje towarzystwo — odpowie Buszman — byłoby też o co dbać! wracaj, mój kochany, do obozu! wracaj! a jak zobaczysz pana Henryka, to powiedz mu, że Facetan pragnie go widzieć. Mam mu coś ważnego powiedzieć.

— No dobrze — rzecze Kafr. — Ale po cóż chcesz widzieć pana Henryka? Powiedz, co mu masz powiedzieć, a ja go o tym zawiadomię, aby się nie trudził daremnie, przychodząc do ciebie. Cóż mu mam powiedzieć?

W odpowiedzi na to pytanie, Facetan szeroko począł się rozwodzić nad głupotą Kafra, który wpadł w jamę, podczas gdy najgłupsze zwierzęta, krowy wodne, (tak nazywał hipopotamy) wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wytopiły tę pułapkę i unikały jęć od dawna.

Oczywiście Kongo zapytał znowu jakim sposobem jeden z nich ma być głupszym od drugiego, skoro obydwa jednakowemu ulegli nieszczęściu?

I znowu Buszman dowodził długo i wymownie, że jego wypadek był jedynie skutkiem głupoty Konga, ponieważ Kongo pierwszy wpadł w jamę.

Facetan uważał to rozumowanie za rozsądne a wylanie uczuć przyniosło mu wielką ulgę. Przyjemność jakiej doznał, klóćąc się z towarzyszem niedoli, nie trwała długo i po chwili myśl Facetana przeniosła go do obozu, gdzie w tej chwili mógł być wesoło czas przepędzać, piekąc i zajadając antylopę, a on tymczasem musiał siedzieć w jamie głodny i smutny w towarzystwie obrzydliwych gadów.

Powoli zaczął go strach ogarniać. Cóż będzie, jeżeli Arendowi wydarzył się jaki wypadek? Jeżeli William i inni zbłąkali się i po kilku dniach ledwie obóz odnajdą? Buszmann słyszał nieraz, że podobne wypadki zdarzają się niedoświadczonym białym ludziom. Może napotkali dzikich, którzy ich zamordowali, albo wzięli w niewolę. Te i tym podobne przypuszczenia roily się w mózgu Buszmana, naprowadzając go na tę myśl, że jeżeli które z nich się sprawdzi, to trzeba będzie najprzód pożerać chyba otaczające go okropne gady, a potem umierać z głodu. Nie pocieszyła go już nawet myśl, że nielubiony towarzysz skazany jest na los podobny.

Smutne te rozmyślenia przerwane zostały gwałtownym, urywanym szczekaniem psa. Facetan podniósł oczy i ujrzał na brzegu jamy zwierzę; był to szakal, zwany psem dzikim przez boerów. Ozwawszy się po raz drugi, ale głosem odmiennym, szakal odskoczył od jamy i natychmiast dały się słyszeć liczne wycia, z których łatwo było odgadnąć, że zwierzę przybył tu w licznym towarzystwie. Skutkiem obawy, jakiej dzikie zwierzęta zawsze doznają na widok człowieka, gromada szakali ukazała się na brzegu jamy, odskoczyła od niej, ale po chwili wróciła znowu. Szakale były głodne; zgadywały, że nieprzyjaciel, którego w tej jamie znalazły, nie mógł się bronić.

Powoli cała gromada zbliżyła się i otoczyła obie jamy, sprawdzając niejako, że w każdej z nich znajduje się zdobycz, po którą potrzeba tylko zejść do tych jam. Głos i wzrok ludzki już ich nie odstraszał. Pewne zwycięstwa, szakale zabrały się do dzieła; było ich ze sto. Żębami i pazurami rozrywały brzegi jam, zasypując je kurzem, który dusił biednych więźniów. Doły owe musiały być już bardzo dawno urządzone, drzewo, którym je wyłożono, i niby wycembrowano, już spróchniało, i teraz drżało i chwiało się pod natarczywością wstrząsającej niem gromady dzikich zwierząt; co chwila miało się zawalić.

— Hm, jeżeli ta chmara drapieżnych stworzeń spadnie na mnie, to chyba drugie tyle starczy i dla Konga!.. — myślał Facetan. I jakby los podsłuchał to niepocziwe życzenie, gdyż sprawdziło się natychmiast. Buszman usłyszał dzikie szczekanie,

potem szamotanie się zwierzęcia i poznał w prawdziwym uchem, że jeden z szakali wskoczył już do sąsiedniego dołu. Tak było rzeczywiście, ale na szczęście Konga, zwierzę, spadające w głąb dołu, nie uniknęło niebezpieczeństwa, którego Kafr szczęśliwie się ustrzegł. Szakal wbił się na ostry pal, sterczący w środku jamy.

Twarz Kafra znajdowała się zaledwo o stopę od strasznej paszczy zwierzęcia, rozwścieczonego do szaleństwa bolesnym konaniem. Facetan bystrym uchem dzikiego człowieka rozróżniał doskonale wrzaski konającego zwierzęcia i wycie jego towarzyszy, a wyobraźnia przedstawiała mu obraz strasznej, śmiertelnej walki Kafra z szakalem. Wtedy to poznał dopiero Buszman, że owa wieczna jego nieprzyjaźń dla Konga wcale nie była tak głęboką, jak mu się zdawało czasem. Drżał cały, ani myśląc o samym sobie, i gdyby był mógł, byłby niechybnie na pomoc pośpieszył temu, któremu przed chwilą tak źle życzył.

Straszne wycia drapieżnej gromady, współczucie dla Kafra i niepewność własnego losu, doprowadzały go prawie do obłędu, gdy nagle zdało mu się, że szakale zabierają się do odwrotu.

Cóż się stało? Czyliż przybyła pomoc? Buszman nadstawił niespokojnie uszu.

## V.

### Zniknięcie Arenda.

Po południu, gdy William, Hans i Henryk wrócili do tymczasowego obozu, zastali go osamotnionym. Tylko kilka szakali uciekło ztamtąd, niechętnie pozostawiając gołe kości antylopy, zabitej niedawno przez Arenda. Widocznie obóz był opuszczonym już od kilku godzin.

— Cóż to ma znaczyć? gdzie jest Arend? — zawał William.

— Nie pojmuję tego, i dziwi mię, że niema tu Facetana ani Konga, ażeby nam nieobecność Arenda wytłómaczyli — rzekł Henryk. — Stało się tu widocznie coś nadzwyczajnego — ale młodzieńcy napróżno spoglądali w około, nic nie wyjaśniło zagadki.

— No i cóż teraz robić? — smutno pytał William.

— Czekać! — odpowiedział Hans — to jedyna rzecz rozsądna. — Jakież istoty żyjące, poruszające się w oddali, zwróciły uwagę myśliwych, którzy wkrótce poznali, że to były ich własne rozbiegłe konie. Henryk i William natychmiast popędzili za nimi. Upłynęła z godzina, zanim udało im się nawrócić je ku obozowi. Wracając, zbliżyli się do rzeki w jednym miejscu przystępnym, u brodu, aby napić wierzchowce. Za ich zbliże-

niem, gromada szakali, wyjąc i szczekając zaciekle, rozbiegła się i uciekała w stronę lasu. Nie zważając na to drobne wydarzenie, jeźdźcy wjechali w rzekę i poili konie, gdy Henrykowi zdało się, że usłyszał głos niezwykły.

— Słuchaj — rzekł — co to za krzyki?

— To szakal tak wyje.

— Ale gdzie on jest?

— Trudno było odpowiedzieć na to pytanie.

Ale niezadługo rozpatrujący okolicę William spostrzegł jeden z dołów, od którego szakale uciekły.

— A! — zawołał — tam jest pułapka, w którą szakal wpadł niewątpliwie. Trzeba mu posłać kulkę, aby skrócić jego cierpienie.

— Zapewne — potwierdził Henryk. — Nie cierpię szkodliwych stworzeń, ale okrucieństwem jest pozostawiać je na pastwę głodnej śmierci. Zabij go czempredź. Wiliam zeskoczył z konia i zbliżył się do pułapki. Dotąd dwaj młodzieńcy mówili ze sobą zwykłym, niepodniesionym głosem, przeto więźniowie w dołach ich nie słyszeli, milcząc sami w swém pogębieniu. Szakal tylko wył przeraźliwie. Spoglądając w głąb ciemną jamy, William spostrzegł tylko jej środek i szakala nieszczęsnego na palu. Wziął go na cel i dał ognia. Pies przestał cierpieć, ale w odpowiedzi na wystrzał rozległy się wrzaski przeraźliwsze jeszcze chyba od poprzednich jęków szakala. Były to krzyki dwóch więźniów, którzy obawiali się, aby i im z kolei nie dostało się po kulce od tego, kto tak litościwie skrócił cierpienie szakala.

— Arend! czy to ty? Arend! — krzyknął William, w przerażeniu myśląc tylko o bracie.

— Nie, panie Williamie, to ja, Kongo! — odpowiedział Kafr z głębi ciemnej jamy. William bez namysłu spuścił kolbę strzelby w głąb dołu, trzymając ją dobrze za lufę. Kafr uchwycił zbawczą kolbę obu rękami i dzięki potężnym ramionom Wiliama, za chwilę był na powierzchni ziemi. Następnie toż samo powtórzyło się z Facetanem. Zaledwie wydobywszy się z podziemia, dwaj dzicy spojrzeli wzajem na siebie i parsknęli śmiechem jeden z drugiego. Byli oba tak zablóceni, że wśród wzajemnych przedrwiwań z siebie zagasł w nich gniew i żal, jaki mogli mieć do siebie. William przez chwilę śmiał się także, spoglądając na obu dzikich, lecz po chwili zapytał znów niespokojnie:

— Ale gdzie jest Arend?

— Nie wiem, panie Williamie, ja tu strasznie długo siedziałem w jamie — odpowiedział Kongo.

— A kiedyż go widziałeś? — pytał Henryk.

Trudno było jednak otrzymać jasną odpowiedź. Biedakowi wyraźnie z przestachu trochę się

w głowie pomieszało, plół od rzeczy, utrzymując, że kilka dni przepędził w ciemnej jamie. Badano tedy Facetana i od tego z trudem dowiedziano się przecież, że wkrótce po odejździe towarzyszy, Arend popędził za zbiegłym koniem. Facetan nie wiedział nic więcej.

Czas nagił, słońce zniżało się szybko, nie bawiąc się więc w próżną gadaninę, Henryk i William dosiedli koni i popędzili w stronę, w której Arend znikł z oczu Buszmana. Dopadłszy wybrzeża lasu o milę blisko od obozu, William strzelił w powietrze, nie wiedząc już, gdzie jechać dalej. Dwaj przyjaciele z bijącym sercem przysłuchiwali się, oczekując odpowiedzi na wystrzał, który echo rozniosło daleko. Ale odpowiedź dała się słyszeć nie w dźwiękach głosu ludzkiego, lub wystrzału, lecz w strasznych odgłosach puszczy leśnej, w ryku lwów, w jękach drapieżnych ptaków, w piskach małp, dziwacznych i przykrych...

— Cóż zrobimy? — zapytał Henryk.

— Wrócimy do obozu, zabierzemy z sobą Konga i ogara Szukaja — odpowiedział William. I tak się stało.

## VI.

## S z u k a j.

Ostatnie promienie słońca znikły już w dolinie Limpopo, gdy William i Henryk, zaopatrzeni w pochodnie, zabrawszy z sobą Kafra i psa Szukaja, udali się na odnalezienie zaginionego Arenda.

Zwierz, przewany Szukaj, był to ogar hiszpański, szczenięciem przywieziony z kolonii portugalskich północnych; kupiony przez Williama, otrzymał imię Szukaj od Konga. Przez całą drogę z Graaf-Reinet do Limpopo pies ten sam jeden więcej przyczyniał kłopotów podróżnym, niż reszta psiarni. Nie był on wcale usposobionym do znoszenia głodu i pragnienia, nieraz też próbował uciekać, dla zadowolenia swych dziwacznych zachcianek. Teraz zabierano go w nadziei, że może przecież odplaci się w zamian za kłopoty jakich z jego powodu doznawano. Szukając po drodze, którą prawdopodobnie Arend na skraju lasu przebywał, odnaleziono istotnie ślady zbląkanego konia i wierzchowca Arenda. Za temi śladami udali się poszukujący w głąb lasu drogą leśną wytłoczoną i ubitą nogami bawołów i innych zwierząt dzikich. Boki tej drożyny, jakby ściany, były prawie niepodobne do przebycia, bo składała się na nie kolczasta gęstwina, nie odwoływano się więc do zdolności ogara. Kongo szedł naprzód.

— Czy pewny jesteś, że oba konie, wierzchowca Arenda i zbiegły, przeszły tędy? — spytał William.

— Tak, panie Williamie — była odpowiedź. — A William dodał, zwracając się do Henryka.

— Arend powinien był rzucić uciekającego konia i wyrzec się go do licha; nie warto było gonić za nim w takie gąszcze.

Przebywszy kawał drogi pod sklepieniem leśnym, wydostano się na otwarte miejsce, gdzie krzyżowało się mnóstwo śladów najrozmaitszych. Wtedy odszukano śladów wierzchowca Arenda, i ogar, dotąd trzymany na smyczy, był na nie wprowadzony. Przeciw zwyczajowi psów takich, Szukaj nie rzucił się wcale naprzód za temi śladami, i panów w tyle nie zostawił; zdawał się rozważać, że bezpieczniej mu będzie na ten raz trzymać się towarzystwa panów. Szedł za śladem spokojnie, co ułatwiało zadanie poszukujących.

Stłumione ryki zwierząt leśnych dały się słyszeć nagle. Myśliwi znali te odgłosy, domyślili się, że to lew pożerał jakieś duże zwierzę, a hyeny jęczały ze złości, ale nie śmiały się porywać na króla puszczy. Odgłosy te zbliżały się; w tę stronę właśnie prowadził Szukaj swych panów śladem Arenda. Księżyc wypłynął na niebie i przy srebrzystym jego świetle myśliwi ujrzeli wkrótce gromadę dzikich zwierząt; ze dwanaście hyen skurczonych otaczało w pewnej odległości lwa potężnego, który przysiadłszy, pożerał jakiś kasek duży i ciemny... Za zbliżeniem się myśliwców, hyeny odstąpiły trochę w bok.

— Co ten lew pożera? czy to nie koń?... — spytał Henryk pocichu. A William odpowiedział: — Tak, widzę wyraźnie siodło. Wielki Boże! to koń Arenda! gdzie jest mój brat!

Szukaj, postępując ciągle za śladem, znajdował się już o kilka kroków tylko od lwa, i nagle zaszczekał, jakby chciał odpędzić drapieżnego zwierza od rozpoczętej uczy.

Lew ani drgnął, tylko mruknął wzgardliwie.

— Co czynić? — szepnął William — zabić go, czy odpędzić?

— Zabić, to pewniejsze — odparł Henryk.

Zsiedli z koni, oddali je Kafrowi i tuż za Szukajem posunęli się na jakie pięć kroków do lwa. Pyszny zwierz na ich widok przerwał ucztę i zebrał członki do skoku kocim sposobem.

— Czyś gotów? — szepnął Henryk.

— Tak, daj ognia!

Dwa wystrzały padły jak jeden. W chwili, gdy dwaj myśliwi pociągali za cyngiel, rozskoczyli się w dwie przeciwne strony. Lew w tejsze chwili ze strasznym rykiem, dając ogromnego susa, padł ciężko potwornym cielskiem pomiędzy dwóch strzelców.

Nie tracąc czasu, nie spojrzawszy więcj na lwa, obaj poskoczyli do opuszczonej jego zdobyczy.

Tak, to był istotnie koń Arenda, ale jeźdźca nie było tu ani śladu. Jakikolwiek był los jego, nic przecież nie dowodziło, aby zginął wraz z koniem.

— Żebyż się dowiedzieć, czy koń tu na miejscu był zabity, czy też lew go tu przywlókl?... — szepnął Henryk.

Zbadano grunt, i Kongo zapewnił, że koń był ubity na miejscu i przez tegoż samego lwa.

To było co najmniej dziwne. Dalsze baczne poszukiwania odkryły, że koń miał jedną nogę uplątaną w trenzlę. To przecież choć trochę wyjaśniało sprawę; rzeczywiście, trudno byłoby pojąć inaczej, jakim sposobem koń tak szybko nogi mógł być paść ofiarą lwa, zwłaszcza w otwartym miejscu.

— To dobrze — rzekł William — Arenda nie było tu przy koniu.

— A więc trzeba nam teraz poszukać miejsca, na którym zsiadł z konia — rzekł Henryk.

— Wracajmy i jeszcze raz przypatrzmy się śladom — mówił William. Tak rozmawiając, obaj nabili broń i wskoczyli na siodła.

— Panie Williamie — rzekł Kongo — a żeby też pies jeszcze poszukał? — Zgodzono się na to i Kongo, prowadząc psa przed sobą, począł zakreślać wielkie koło. Przybywszy tak do miejsca, którego jeszcze nie badano, Kafr zatrzymał się i przywołał swych panów.

Były tam znowu ślady konia Arenda, oddalające się od miejsca lwiej uczy w stronę przeciwną od obozu. Oczywiście koń gdzieś dalej postradał pana, i sam wracał ku obozowi, gdy padł ofiarą lwa.

I znowu Szukaj poszedł ochoczo za śladem, a młodzieńcy szli za nim wraz z Kongiem. Ale my nie potrzebujemy trudzić się tak, jak oni, bo mamy prosty sposób wykrycia losów Arenda.

*D. c. n.*

## ROZMAITOŚCI.

Wspominaliśmy już młodym naszym czytelnikom o zamierzonym obchodzie jubileuszu, dwuwiekowej rocznicy odsieczy Wiednia przez Jana III. Tymczasem ukazują się liczne wydawnictwa, dotyczące się tego wielkiego dziejowego faktu; wymienimy z nich niektóre. „Opowiadanie o królu Janie Sobieskim, skreślił Romuald Starkel“. Nie wielka ta książeczka o 80 str. ozdobiona kilku rycinami, stanowi tomik biblioteczki dla młodzieży, wychodzącej w Galicyi.

Znany autor geografii i innych prac pożytecznych, Lucyan Tatomir, napisał bardzo cenne

dzieło pod tyt: „Ślady króla Jana w kraju naszym“. Jest to opis 106 miejscowości, mających związek z życiem domowem i historycznym Sobieskiego. Począwszy od kolebki bohatera, Oleska, Żółkwi, Złoczowa, siedzib trzech znakomitych rodów, po których dziedzictwo sławy przeszło na króla Jana, aż do najdalszych zakątków kraju, dotkniętych jego stopą, książka ta zawiera opis dokładny wszystkich pamiętnych miejscowości, w porządku alfabetycznym ułożony.

Wyszedł także we Lwowie zbiorek poezji z różnych czasów, opiewających dzieje i czyny króla bohatera, wydany przez Wł. Bełzę pod tytułem: „Sobieski w poezji polskiej“.

U nas w Warszawie wychodzi poszytami przepyszne dzieło illustrowane: „Jan Sobieski, jego rodzina, towarzysze broni i współczesne zabytki, zebrał i opisał Józef Łoski“. Pierwszy zeszyt już się ukazał.

Czytelnicy naszego Pisma mieli w roku zeszłym opowiadanie z czasów dzieciństwa króla Jana, pod tyt: „Tajemnica rodu“, a w roku bieżącym piękny wiersz p. Duchiniński: „Jan Sobieski“. Przygotujemy też dla nich obszerny opis panowania i czynów wojennych Jana III-go.

W Krakowie, oprócz innych przygotowań do obchodu rocznicy odsieczy wiedeńskiej, zajmują się czynnie urządzeniem wystawy pamiątek po królu Janie, pamiątki te gromadzone są skrzętnie po muzeach i zbiorach prywatnych; dużo osób zgłosiło się z gotowością nadesłania posiadanych przez siebie różnych cennych przedmiotów.

Przy tej sposobności dzienniki krakowskie podały wiadomość o wspaniałych gobelinach, znajdujących się w Burgu, pałacu cesarskim w Wiedniu. Gobeliny te, wyrobione były w fabryce pod Nancy, według obrazu Herbela, malarza bawiącego na dworze Karola V lotaryńskiego. Zachowane najpierw w Nancy, później przeszły do Florencji, nakoniec dostały się do Wiednia. Przed stu laty oglądał je w kościele Ś-go Szczepana Franciszek Karpiński i tak o nich pisze w swoim *Pamiętniku*: „Cała historia odsieczy wiedeńskiej jest na tych gobelinach doskonale wyrobiona jedwabiem. Portrety znakomitych osób są bardzo trafnie zrobione i nie gorsze od portretów pendzlem malowanych“.

Później gobeliny przeniesione zostały do pałacu cesarskiego, gdzie się znajdują obecnie. Jest ich wszystkich dziewiętnaście, a z tych cztery są dla nas najciekawsze, gdyż przedstawiają, albo wojska polskie, albo samego króla Jana. Osoby, urządzające wystawę, starają się podobno o to, aby z tych gobelinów można było przynajmniej fotografie wykonać i umieścić je na wystawie.

### Zagadka (A. J.).

Jaki zakon ma dewizę następującą?  
Stat crux dum volvitur orbis.

### Łamigłówka zgłoskowa (M. B.).

Z następujących zgłosek: a — e — gro — je — la — le — lo — li — łat — mil — na — na — ne — o — o — pi — tel — rew — zur — ułożyć ośm wyrazów: 1. Rzeka w Polsce. 2. Imię kobiety. 3. Imię z Pisma Śgo. 4. Soki roślinne. 5. Piękna barwa. 6. Imię mężkie. 7. Tytuł tragedji Szekspira. 8. Przylądek w Afryce. Pierwsze litery od góry do dołu utworzą imię wielkiego nowożytnego wojownika, ostatnie w tym samym kierunku, miejsce, gdzie sławną bitwę stoczył.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

#### Szarady:

So --- bie — ski.

#### Łamigłówki zgłoskowej:

Moab  
Imbier  
Cacko  
Konrad  
Izajasz  
Elki  
Wrzesień  
Ibis  
Czyżyk  
Zaleszczyki

#### NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE.

(Pod tym tytułem podawać będziemy kiedyniekiedy krótkie wiadomości o książkach, do naszej redakcji nadsyłanych, które mogą się przydać, czy to młodemu czytelnikom, czy też ich rodzicom lub nauczycielom. O książkach, wyłącznie dla młodego wieku przeznaczonych, podajemy parę razy do roku obszerniejsze sprawozdanie w „Listach z Warszawy“).

*Pamiętnik fizyograficzny*, wydawany staraniem E. Dziewulskiego i B. Znatowicza. Tomy I i II z r. 1881 i 1882 są do nabycia po rs. 7 kop. 50. Tom III pod prasą.

*Mapa hydrograficzna dawniej Słowańszczyzny*. Rzeki i jeziora z tekstem objaśniającym przez W. K. (Walerego Kopernickiego) rs. 1 kop. 35.

*Słownik angielsko-polski* ułożył J. J. Baranowski rs. 2.

*Wychowanie dziecka* włącznie do lat 6 - ciu przez H. Wernica kop. 40.

*Potop* szkic przyrodniczo-filozoficzny, skreślił E. Majewski rs. 1.

*Szkice filozoficzne* Herberta Spencera rs. 1 kop. 20.

*Owoce*, wytwarzanie odmian owocowych, przez E. Jankowskiego kop. 50 (z przesyłką).

*Wspomnienia dawnego studenta* przez St. Sobieskiego, kop. 40.

*Istota zjawisk psychicznych*, studjum psychologiczne przez F. Boguckiego kop. 40.

*Humor w Panu Tadeuszu*, przez D. Zglińskiego kop. 30.

*Kuchnia dyetetyczna* podług dzieła dra. Wiela w opracowaniu dra. Polaka, kop. 50.

*Lira Polska*, wybór poezyj, tomik kop. 30 w ozdobnej oprawie kop. 50,

*Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie i niewoli u Szamila* przez J. Kalinowskiego rs. 1.

*Nowe powiastki historyczne* dla młodzieży i ludu, napisał J. Grajner, kop. 10.

*Döm (Dim) i Szkoła* ilustrowane pyśmo dla młodeży, pod redakcyę Jurja Kawalca w Kōłomyi.

*Mały katechizm* dla młodzieży Rzymsko-katolickiej napisany p. Ks. Leona Kaszewskiego cena kop. 10.

## Odpowiedzi od Redakcyi.

**Wiñci S. w Piotrkowie.** Odwołując się do poczoiwych serduszek naszych czytelników, byliśmy pewni zawczasu, że się nie zawiedzimy, i w rzeczy samej rubelki sypią się jeden po drugim, a uboga wdowa błogosławi swoich dobroczyńców. Niezadługo zapewne będzie mogła kupić sklepik, który zapewni utrzymanie jej dzieciom. Do układania łamigłówek trzeba troszkę cierpliwości. Powinniby kochani nasi współpracownicy zaniechać już zgłoskowyck, które są zanadto pospolite, a naśladować inne wzory, których nie brak w Piśmie naszym. Rozwiązania wszystkie są trafne, a liściki tak starannie napisany, że się czyta z wielką przyjemnością.

**Mercioł W. w Klepaczu.** Przesłanego rubla dołączyliśmy do sporęj kwoty, zebranęj z hojnych datków kochanych czytelników naszych, i w imieniu biednej wdowy i jej dziełek serdeczne przesyłamy Bóg zapłać. Cieszymy się, że Piemko nasze jest tak miłą rozrywką w chwilach wolnych od

nauk, a wiemy dobrze, jak wiele pracy ma w szkołach młodeż, jeśli chce odnieść korzyść prawdziwą. Tem bardziej wdzięczni jesteśmy za miły i porządnie napisany liścik

**Maryni Sk. w Antoninach.** Znowu rubelek dla biednej wdowy i to z własnych oszczędności uzbierany. Wielka to radość dla nas, że kochani czytelnicy tak ochotnie i śpiesznie odpowiedzieli na wezwanie nasze. Powieść „Braniec tatarski“ musiała być przerwana, gdyż autorka nie przesłała nam jeszcze drugiej części. Ponieważ jednak braniec odszukał już rodzinę i czytelnicy mogą być o niego spokojni, prosimy o cierpliwość, a wkrótce zapewne będziemy mogli drugą część tego zajmującego opowiadania rozpocząć.

**Wańdzi K. w Czabanówce.** Dwie łamigłówki dobrze ułożone i ślicznie, wyraźnie napisane, wydrukujemy niezadługo.

**Melañci B.** Jakim sposobem wysłany był aż dwa razy N-r 14, tego nie rozumiemy; za zwrot dziękujemy bardzo, rozwiązanie łamigłówek trafne, a kaligrafia w liściku staranna, za co zawsze szczerze kochanym korespondentom jesteśmy wdzięczni.

**Anulce J. w Niszowcach.** Widok znanego i kochanego piśma już na kopercie zawsze sprawia nam wielką radość, a cóż dopiero przy czytaniu liścików, tak zawsze przepelnionych miłemi dla nas rzeczami. Rozstanie z taką czytelnicką byłoby dla nas nadto przykre, z wielką też przyjemnością dowiedzieliśmy się, że na wszystko jest sposób, a pośrednictwo młodszego rodzeństwa utrzyma jeszcze na czas dłuższy tak drogi dla nas stosunek. Opis rozdania nagród jest bardzo a bardzo pożądany dla naszego Piśmka i prosimy o dotrzymanie słowa. Mamie i braciżkom serdeczne przesyłamy ukłony.

**Anilci, Mani, Teci i Bolesi.** Za rubla ofiarowanego dla wdowy na sklepik przesyłamy w jej imieniu podziękowanie.

**Kaziowi S. w Wradyówce.** Otrzymaliśmy rubla dla wdowy na założenie sklepiku, serdecznie zaś dziękujemy. Liściki kochanych naszych czytelników, zwłaszcza tak ładnie i starannie pisane, wielką są dla nas przyjemnością i nigdy nam się naprzykrzyć nie mogą. Dogadzając życzeniu wielu naszych młodych korespondentów, rozpoczęliśmy podróż, która będzie zapewne równie zajmująca, jak i dawniejsze. Uczenie się wierszy na pamięć jest bardzo pożyteczne, staramy się, aby wszystkie, w Piśmie naszym drukowane, na to zasługiwały. Liścik wcale nie jest za długi i prosimy aby następny był jeszcze dłuższy.

Wszystkim którzy nadesłali jako rozwiązanie zagadki historycznej imię i nazwisko tylko znakomitego męża, przypominamy, że dla otrzymania nagrody należy napisać rozwiązanie obszernie, dokładne, aby mogło być w Piśmie wydrukowane. Najlepiej odczytać dawniejsze rozwiązania w N-rach 7 i 16.

**Pani M. Moszcz..** Z piśemek francuzkich dla młodego wieku najlepsze jest podług nas *Magasin d'Education et de Recreation*.



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



## POWIASTKA WSCHODNIA.

Pewien Arab miał w ogrodzie małą pasiekę, hodował ją bardzo starannie, bo miód pracowitych pszczółek dawał mu dochód dostateczny na skromne jego potrzeby.

Dnia pewnego wstał rano i jak zwykle pośpieszył zaraz do ogrodu zobaczyć, co się dzieje z pszczółkami, czy brzęczą i latają, szukając miodu po kwiatach. Ale jakież było jego zdziwienie i przerażenie, gdy spostrzegł, że w pasiece brakuje trzech najpiękniejszych ulów.

— Okradli mnie, zrabowali!—wołał biedny Arab, płacząc i narzekając, potem pobiegł do sąsiadów, a miał ich kilku, mieszkających tuż obok ogrodu jego, każdemu opowiadał, co się stało, i mówił:

— Przyznaj się, czy nie ty to zrobiłeś? Przebaczę ci i nie będę cię oskarżał przed sądem, jeśli mi zwrócisz dobrowolnie ukradzione ule z pszczółami.

Ale wszyscy sąsiedzi oburzali się bardzo na to podejrzenie i upewniali, że żaden z nich nie tknął ulów i nie wie, co się z nimi stało;

— A jednak nikt nie mógł tego zrobić—mówił poszkodowany—tylko jeden z was. Obcy człowiek nie potrafiłby się dostać w noc do mojej pasieki i wybrać najlepsze ule, pełne wyborczego miodu. A was nieraz sam

oprowadzałem po ogrodzie i w zaufaniu pokazywałem moje pszczółki i ich robotę.

Sąsiedzi rozgniewali się na dobre, zaczęli łajać biednego pszczelarza, zagrozili nawet, że go wybiją, jeśli nie przestanie ich napadać niewinnie,

— A, kiedy tak—powiedział on—to znajdę inny na was sposób, pójdę i poproszę, aby Kady rozsądził tę sprawę.

Kady, czyli sędzia tej wioski, słynął na całą okolicę z wielkiej mądrości; umiał on nieraz z wejrzenia winowajcy odgadnąć zbrodnię, której się dopuścił, chociaż nikt mu jej dowieść nie mógł, zawsze też wydawał sprawiedliwe sądy.

Pszczelarz poszedł natychmiast do Kadego i opowiedział mu rzecz całą, prosząc o radę. Kady słuchał z wielką uwagą, rozpytywał o najdrobniejsze szczegóły, nakoniec posłał sługę sądowego, aby wezwał do niego wszystkich owych sąsiadów, których właściciel pasieki podejrzewał o kradzież ulów.

Gdy się zeszli wszyscy i zaczęli upewniać, że są niewinni, Kady odezwał się surowo:

— Jeden z pomiędzy was jest winowajcą i mogę wskazać który—a zwracając się do pszczelarza, dodał—czy nie widzisz? oto twoje własne pszczoty siedzą na zawoju złodzieja i świadczą przeciwko niemu.

A wtém, gdy Kady wymawiał te słowa, jeden z oskarżonych wstrząsnął się cały z przerażenia i sięgnął ręką do swojego zawoju. Wszystkie oczy zwróciły się na niego, ale nikt nie obaczył pszczół, o których Kady mówił. On zaś odezwał się wtedy.

— Złodziej sam się wydał, a raczej wydało go sumienie, które świadczy przeciwko niemu. Pamiętajcie, iż zbrodnia, choćby najstaranniej ukryta, musi się zawsze kiedyś wydać, bo choćby winowajca potrafił uniknąć wzroku świadków, nigdzie się nie schowa przed własnem sumieniem i ono go zawsze potępi.

Niegodziwy sąsiad nie próbował już nawet kłamać i przyznał się do wszystkiego,

musiał też zwrócić skradzione ule z pszczołami i miodem; uie zdążył jeszcze ich sprzedać, tylko schował w piwnicy, gdzie nikt z pewnością nie potrafiłby ich wyśledzić. Każdy skazał oprócz tego na surową karę złodzieja, który później musiał się przenieść do innej okolicy, wszyscy nim pogardzali i nikt nie chciał się zbliżyć do niego po tej przygodzie, ani słowa do niego przemówić.

## BIEDNY DRUCIARCZYK.

— Rosół niesmaczny, czarne kluseczki,  
Jarzyna twarda, w mięsie kosteczki,  
W chlebie zcierstwiała znowu ośrodka,  
A legumina twarda, niesłodka...

Słucha to tatuś, jak synek bredzi,  
Z buzią nadętą przy stole siedzi.  
Wtém drzwi otwiera blady chłopczyna:  
— Dajcie drutować—prosić zaczyna....  
— Użycie przytém, panoczku, chleba,  
To wam zdrutuję mocno, jak trzeba.  
— Czegoś tak blady?—Oj, dobry panie,  
Bom nie zarobił dziś na śniadanie,  
Nikt, choć się pytam, robić nie każe,  
Mówią: Już byli tutaj druciarze....  
Więc ja znów dalej.... zimno na dworze!  
— Siadajże z nami, i zjedz, nieboże;  
To smaczne jadło siły ci doda,  
Dla grymaśników jest chleb i woda.

*Marya Ciświcka.*

## MATECZKA FASOLA.

(z FRANCUZKIEGO).

(Dalszy ciąg).

### II.

Strączki podrastały, w końcu zaczęły żółknąć i schnąć powoli. Mateczka czekała z utęsknieniem chwili, gdy dziatki jej wydobędą się i wypadną ze strączka, chwaścik ciągle się dopytywał, kiedy to będzie, a ropucha przychodziła dwa razy na dzień dowiadywać się, jak się wszyscy mają.

Dnia pewnego, było to po zachodzie słońca, dały się słyszeć w ogrodzie jakieś cieniutkie, wesołe głosiki i rodzina myszek ukazała się w pobliżu fasolki. Była tam mama, ojczulek i sześcioro małych myszek.

— Patrzenio, patrzcie—mówiła mama do dzieci—jakie tu są pyszne fasolki! pamiętacie, opowiadałam wam niedawno o tych wybor-

nych fasoleczkach. Toż dopiero będziecie miały ucztę! Mężulku—rzekła do tatki—ty jesteś zwinniejszy odemnie, wleźno prędyutko na tę łodygę, a pośpieszaj, bo tu w tych ogrodach zawsze się trzeba mieć na baczności.

Tatka wdrapał się na fasolkę, i w jednej chwili sprawił się z trzema strączkami: szach, mach, rozduził je i fasolki porzucił na ziemię dla swoich dzieci. Cóż to była za radość! cała rodzina rzuciła się na tę zdobycz, wszystkie ząbki pracowały, fasolki takie były smaczne.

A wtém, gdy myszki zajadały w najlepsze, paf! coś dużego, zimnego, spadło na nie nagle. To była nasza znajoma ropucha. Myszki spłoszone zaczęły uciekać, ale każda chwyciła fasolkę w ząbki i zabrała z sobą.

— Dobrze, że choć jedną uratowałam!—rzekła ropucha, oglądając uważnie piękną fasolkę białą, brunatno nakrapianą, która ocalała jakoś szczęśliwie.

— O! moja dziecino, droga, kochana dziecino!—wołała mateczka fasolka uszczęśliwiona, że choć ta jedna z licznej rodziny jej pozostała.

Chwaścik cieszył się także, ale zaraz roztropnie zauważył, że leżąca na ziemi fasolka narażona była na tysiączne niebezpieczeństwa. Zaczęła się narada, coby z nią zrobić, wezwano także i ropuchę, aby swoje zdanie wypowiedziała.

Mateczka fasola chciała, aby jedyne jej dziecko pozostało przy niej, tym sposobem mogłaby patrzeć na nie przez cały dzień. Chwaścik obawiał się powrotu żarłocznych myszek; nakoniec ropucha najlepszą radę obmyśliła.

— Pojmuję ja to—powiedziała do mateczki—że miłoby ci było patrzeć na tę ukochaną dziecinę, ale cóż ci z tego przyjdzie, kiedy ona śpi teraz ciągle, a leżąc tak na powierzchni ziemi nie może się przebudzić. Czyż nie byłoby ci daleko przyjemniej, gdyby twoja córeczka żyła i rosła w oczach twoich.

— To prawda — odrzekła fasolka—na to potrzebaby ją tylko zasadzić w ziemię; już ja-bym była cierpliwa i wyrzekłabym się widoku drogięj mojej dzieciny na dni kilka. Tylko nie wiem, jak to zrobić,

— Już ja to biorę na siebie—powiedziała ropucha—fasolki nie potrzebują być zasadzone głęboko, zaraz ja ją zagrzebię tu obok chwaściku, teraz jest ciepło i deszcze często padają, obaczycie, jak prędyutko się zbudzi:

(D. n.)

## WSPANIAŁY LEW.

Lew zaryczał, więc wszystkie zwierzęta za-  
[drżały;  
Drżał i murzynek jeden zbłąkany i mały,  
Na pół martwy ze strachu, słysząc straszne tony,  
Padł przed zwierzem na ziemię murzynek  
[strwożony.

Lew popatrzał na przestkach małego stworzenia  
I odszedł, by innego szukać pożywienia.  
Tak wspaniałość i siła zna litość dla nędzy,  
Walczą z silnym, a słabych pomija co prędzej.

## PRZYGODY KLARUNI.

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską

(Dalszy ciąg.)

Był to rak potworny, z twardą skorupą na ciele i z pięciu parami nóg, z jakich pierwsze opatrzone są rodzajem nożyc albo kleszczy. Odpoczywał on tutaj zwykle przez dzień, wyłażąc w nocy na szukanie żeru i podnosił w górę przednią parę nóg, chwytając niemi napotkaną zdobycz, jak np. rybki, ślimaki, żaby lub robactwo, służące mu za pokarm. Teraz rybka nasza dostała się w te podniesione kleszcze czyhającego raka i byłaby zginęła niechybnie, gdyby nie nadzwyczajna zwinność, z jaką wysliznęła się z ostrych szponów szkaradnego skorupiaka.

Zbolała, uciekała co żywo, obiecując sobie nigdy już nie zbliżać się ku brzegom jeziora. Nie skończyło się przecież na tym postrachu, niedługo potem w grono wesoło pluskających młodych rybek wpadł żarłoczny, drapieżny szczupak. Ten ma postać długą, wysmukłą, okrytą drobną łuską, spłaszczoną głowę, szeroki pysk z głęboką paszczą, wielkimi zębami opatrzoną, a te zęby pomagają mu chwycić i pożerać ryby, płazy, a nawet i ptactwo wodne. Rzadko kiedy upatrzona zdobycz zdoła się wymknąć temu napastnikowi. Posiada on do tego wielką siłę, odwagę i niezmiernie bystry słuch. I teraz nie mało ofiar pochłonął, a nasza płotka chyba tylko swój drobną i chudą powierzchowność, niezbyt pożądaną dla smakosza, mogła przypisać ocalenie swoje. Szczupak pożerał okazalsze ryby, własnego nawet nie oszczędzając rodzaju. Małe rybka się uchroniła, lecz odtąd utraciła wiele wiary w szczęśliwość zupełną małych mieszkańek jeziora.

Cóż dopiero, gdy przy wielkich upałach skwarne lato woda wysychać zaczęła; ry-

by snęły z gorąca, rozpustni z całej wsi chłopaki zgromadzali się nad jeziorem i kamieniami śmiertelne ciosy rybkom wymierzali. Biedaczki nie miały się gdzie schronić. Mała rybka, w ciągu dnia omdlewając nieraz z przagnienia, pokrzepiała się tylko skąpymi kroplami nocnej rosy; ustały wszelkie swywole i igraszki, los był straszny. Wiele bardzo ryb wyłowiono w tych czasach. Przetrwało się jednak i te najcięższe chwile, przyszły deszcze jesienne i w jeziorze znowu wody przybyło.

Jednakże z kolei nastąpiła zima, ścisnęły mrozy. Gruba tafla lodu murem odgrodziła głębie wód od powietrza i słońka. Smutno było rybce, smutno, jak w grobie, smutniej jeszcze, a więcej głucho i ciemno, jak niegdyś w owej szkolnej sali Klaruni z panią Miłoszową bywało. Ciężko o pożywienie jakie kolwiek, nieraz za drobną muszką długo i na próżno uganiać się trzeba było. Ciszą panującą pod lodem usypiała naszą rybkę mimo woli, gdy razu jednego ogromny łomot rozległ się po jeziorze.

Przerąbano lody i zrobionym otworem zapuszczano sieć na ryby. Zgiełk i popłoch straszliwy nastąpił. Nie można było się uchronić od podzielenia wspólnego losu. Zagarnięta z innemi, znalazła się i mała płotka w sieci, z której wyrzucono na brzeg obfity połów, I teraz przecież ocaliła ją drobna jej postać Rybacy, wybierając okazalsze ryby, drobiazg rzucali napowrót do wody. Rybka, na pół zmarnięta, nie wiedziała, czy cieszyć się z ocalenia, czy trwożyć poznawanemi coraz nowemi niebezpieczeństwami,

Kiedy przyszła pora wiosenna, to znowu na jezioro zawitała czapla siwa na wysokich nogach, z szerokim dziobem i długą szyją. Ta po całych dniach żerowała tutaj, wypatrując i łowiąc ryby, żaby i owady. Nasza znajoma z przerażeniem widziała nieraz trzepocące się w wielkiej paszczy takie jak ona płotki. Nieuronione nigdy, zwycięzka czapla niosła w tryumfie do gniazda, wśród pobliskich drzew usłanego, na którym wspólnie z innemi gromadnie żyła i wychowywała swe małe.

Rybka w ciągłej obawie nie mogła już odzyskać dawniej swobody, i rozumiała teraz, jak mylnie los igrającej rybki wydawał jej się godnym zazdrości. Wszakże to biedactwo nigdy jednej spokojnej chwili nie ma, nigdy jednej godziny nie zagrożonego istnienia!...

Posmutniała bardzo nasza mała, gdy naraż dała jej się widzieć owa wieszczka, zwistująca pożądaną przemianę. I teraz tak samo skinęła swą czarodziejską różdżką, a wnet opadły skrzydła i łuska, a z wody w powietrze wleciała śliczna, modro-mieniąca się jaskółeczka, od spodu biała, z rdzawą odmianą na czole i szyjce, a na piersiach czarną przepaską ozdobiona. Dziobek miała krótki, spleaszczony, skrzydła zaś długie, kończyste, i ogon widełkowaty, służyły jej do chyżego i wytrwałego lotu. To też jaskółki zawsze prawie żyją w powietrzu, króciutkiemi odnóżami swemi, zdatnemi raczój do przyczepiania się, niż do chodu, posługując się jedynie przy chwilowym spoczynku.

W locie jaskółki chwytają muszki i inne owady na pokarm, w locie jedzą, piją, kąpią się, zniżając ponad powierzchnią wody i skrzydełkami muskając jej tonie. W czasie pogody wlatują wysoko, bo skwar panujący na ziemi zmusza drobne owady do chronienia się w wyższe, chłodniejsze warstwy powietrza i ptaszyna za upolowaniem pokarmu tam podążać musi. Przed deszczem chwytają muszki i komary niziutko, a te jej obroty najpewniejszą zmianę pogody oznaczają.

## II.

Życie jaskółki bardzo przyjemnem i wesołym wydało się znowu naszej swywolnicy. Lubiła wznosić się swobodnie aż pod obłoki, poglądając z dumą na ziemię, tak nisko pod jej stopami rozesłaną. Czasem też krążyła sobie w około mieszkań ludzkich, przypatrując się trudom, jakie towarzyszą doli każdego człowieka.

— Szczęśliwa jestem, szczęśliwa teraz — świegotąła, widząc zgięte przy pracy ręcznej lub przy nauce równiecniczki dawniej Klaruni.

Razu jednego zapragnęła zobaczyć dawną siedzibę, podleciała ku okienku i siadłszy na rozwiniętym bzie, zajrzała do pokoju, lecz tam spotkał ją tylko wzrok panny Honoraty, klucznicy, która wypędzając muchy spłoszyła chustką trwożliwą ptaszynę.

— Jak tam ciemno! jak smutno — pomyślała sobie, ulatując co prędzej.

Ponieważ nasza jaskółka należała do rodzaju tak zwanych brzegówek, to jest takich, które gromadnie zakładają sobie gniazda w norach nad brzegami wody, zatem musiała

wspólnie z innymi zabrać się do téj budowy. Wesoła to jednak była praca. Świegotąc, znosiły ptaszyny w dzióbkach ździebelka słomy, mech, rośliny wodne; starannie dobierały błoto i bryłki mułu, aż stanął gmach utworzony nakształt dużego sita, w którym się razem tuliły.

(D. c. n.)

### Zagadka.

Nad rolnikiem na wiosnę  
Pieśni śpiewa radosne,  
Lecąc w chmury wysoko,  
Ledwo dojrzy go oko,  
Jakby w jasne zaranie,  
Nosił ziemi witanie,  
Dla złotego, dla słońca —  
Jak imię tego gońca?

### Łamigłówka zgłoskowa (W. P.)

Z następujących zgłosek: a—as—bel—du—e—lens—łó—łom—ro—sur—sło—wa—wa—wy—wo—york—za—ułożyć 9 wyrazów: 1. Cesarz rzymski. 2. Wyprawa myśliwska. 3. Założyciel starożytnego państwa. 4. Rzeka w Europie. 5. Miasto w Anglii. 6. Część mowy. 7. Zniszczenie. 8. Imię biblijne. 9. Naczynie kredensowe. Początkowe i końcowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą pseudonim poety polskiego.

Rozwiązania do Nr. 19-go.

### Zagadnienia arytmetycznego:

Dwie monety po 5 kop., czyni 10 kop.

Trzy monety po 3 kop., „ 9 „

Sześć monet po 2 kop., „ 12 „

Razem 31 kop.

Na 9 jabłek po 3 kop. wydał 27 kop. zostało mu więc z 31 kop. 4. Ponieważ rozdał ubogim po 1 kop., więc było ubogich czterech.

### Łamigłówki zgłoskowej:

Żyd

Oda

Łan

Kiliński

Il

Echo

Wacław

Siciński

Krogulec

Igorowicz

Żółkiewski—Danitowicz.